

Nieukończona wyprawa na Mont Blanc

Niemal każdy kto chodzi po górach czasami myśli o wybraniu się w góry wysokie. I nie zawsze chodzi tutaj o Himalaje. Wiadomo idąc w góry wyższe niż nasze Karkonosze trzeba mieć jakieś doświadczenie. Trzeba mieć kondycję, odpowiednie wyposażenie i, a właściwie przede wszystkim, odpowiednie nastawienie. Bez tego nawet najlepiej wyposażeni nie osiągną wyznaczonego celu. Dlatego też ja, który całe życie chodzę po górach, nie tylko Sudetach, od czasu do czasu myślę o wyjściu w góry nieco wyższe. Oczywiście nie chodzi mi tutaj o góry, w których aby zdobyć szczyt trzeba stosować techniki alpinistyczne. Daleki jestem od tego. Po prostu uważam takie wejścia za zbyt duże ryzyko i raczej staram się ich nie podejmować. Co oczywiście nie znaczy, że w życiu nie próbowałem podchodzenia przy użyciu lin. Niemniej staram się omijać takie miejsca. Nie należę do ludzi, którzy jak postanowią wejść na jakąś górę czynią to bez względu na to co się dzieje. Nie, potrafię przerwać wędrówkę i odpuścić.



Indie. Przełęcz Khardongla Pass (5600 m. n.p.m.). Foto: Krzysztof Tęcza

Ostatnio wyjazdy w ciekawe regiony stały się bardziej dostępne w porównaniu z dawnymi czasami. A co najważniejsze możemy zaopatrzyć się w odpowiedniej jakości sprzęt i ubrania ułatwiające nam taką podróż. To już nie te czasy kiedy zdobycie odpowiedniego wyposażenia graniczyło niemal z cudem. To już nie te czasy kiedy mając wszystko co było potrzebne do wyruszenia w góry często nie mogliśmy udźwignąć zapakowanego plecaka. Dzisiaj sprzęt jest robiony z wytrzymałych ale bardzo lekkich materiałów. Odzienie mieszczące się po złożeniu w garści zapewnia nam odpowiednią ciepłotę i ochronę przed deszczem i wiatrem. Zatem dzisiejszy plecak z reguły nie waży więcej niż 30 kg. Pamiętam czasy kiedy idąc w Karkonosze dźwigałem plecak ważący 80 kg.

Kolejną różnicą w górach jest fakt znacznie większej ich dostępności. Dzisiaj ciężko jest minąć się na wąskiej ścieżce, tylu mamy turystów. Dawniej wędrując wiele dni po górach nie spotykaliśmy dosłownie nikogo. Góry dawały nam możliwość odsapnięcia od zgiełku i tłoku. Może właśnie dlatego potrafiłem łączyć naukę i pracę z poznawaniem gór. Zdarzały się lata kiedy w górach przebywałem po

300-350 dni w roku. Tak to nie pomyłka. Takich ludzi jak ja było więcej. A trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach warunki pogodowe były o wiele bardziej wymagające. Gdy sypało śniegiem to widać było tylko czubki choiniek. Temperatura często spadała poniżej 30 stopni. Więc gdy po kilkunastogodzinnym podejściu do którejś z chat wreszcie byliśmy u celu to zdarzało się, że przez kilka dni nie było możliwości powrotu do domu. Wtedy nie było telefonów komórkowych. Dlatego każdy z nas musiał sobie radzić tak jak potrafił. Dlaczego o tym wspominam? Dlatego by pokazać, że aby przeżyć w górach trzeba nie tylko posiadać zdrowie i kondycję, odpowiednie wyposażenie ale przede wszystkim odpowiednie nastawienie i, co jest nie bez znaczenia, doświadczenie nabyte podczas wędrówek górskich odbywanych w różnych warunkach pogodowych, często tzw. ekstremalnych. To właśnie doświadczenie najczęściej pozwala na wyjście cało z różnych niespodziewanych zdarzeń jakie mogą nas spotkać w górach.

Za czasów minionego ustroju specjalnie nie było możliwości wyjazdów w góry inne jak te położone w krajach naszego bloku politycznego. Tym samym ich wysokości nie dochodziły nawet do 3000 m. n.p.m. Nie oznacza to oczywiście, że podejścia te nie stwarzały trudności. Przeciwnie często były bardzo wymagające. Dlatego też uczyły nas zarówno techniki jak i pokory wobec panujących tam warunków. Góry bowiem trzeba czuć. Trzeba je szanować, bo gdy będzie się je lekceważyć może spotkać nas coś złego.

Od jakiegoś czasu możemy swobodnie podróżować więc nic dziwnego, że coraz więcej nas wybiera się w miejsca ciekawe a zarazem stwarzające o wiele większe wymagania jeśli chodzi o dotarcie do nich. Często spotykamy się z warunkami do jakich nie jesteśmy przyzwyczajeni. Choćby chorobą wysokościową. Nawet w Tatrach nigdy nie odczuwaliśmy takich dolegliwości. Teraz gdy wyruszamy w góry wysokie spotykamy się z takimi warunkami, często po raz pierwszy. I sporo osób lekceważy rady jakie są im udzielane, uważając, że ich to przecież nie dotknie. Niestety dotknie. Sam pamiętam kiedy w zeszłym roku wyjechałem do Indii gdzie przez cały lipiec podróżowałem po górskich rejonach tego wielkiego kraju przebywając na wysokości przekraczającej 4000 m. Kiedy to docierałem na górskie przełęcze o wysokości 5100, 5400 czy wreszcie 5600 m. n.p.m. Kiedy po raz pierwszy mój organizm przekonał się jak to jest gdy nie można zaczerpnąć powietrza. Na takiej wysokości powietrze jest tak rozrzedzone, że często wydaje się, iż nic nie wchodzi do naszych płuc. I wtedy dopada nas panika, nie myślimy racjonalnie. A to wcale nam nie pomaga. Trzeba bowiem zachować spokój i dać odpocząć sercu, by nie waliło jak oszałałe. Ja na szczęście nie odczuwałem na takiej wysokości żadnego bólu głowy więc specjalnie nic się nie działo. Jednak gdy nieświadom tego co może się wydarzyć spróbowałem sobie podbiec kilkadziesiąt metrów od razu poczułem ucisk w klatce piersiowej i brak siły. Wtedy przekonałem się co to znaczy wysokość.

Kolejnego doświadczenia w górach wysokich doświadczyłem w lutym tego roku kiedy to zachęcony pobytem w Tybecie zdecydowałem zapisać się na wyprawę na Dach Afryki. Kilimanjaro to góra niezwykła. By dotrzeć na jej szczyt oraz bezpiecznie powrócić do bazy trzeba podczas tygodniowej wędrówki pokonać 100 km szlaku i kilkanaście kilometrów przewyższeń. Podczas gdy powietrze staje się dwukrotnie rzadsze już na wysokości 4000 m. Kilimanjaro ma wysokość 5895 m. Tam naprawdę nie ma już czym oddychać. Całe szczęście, że idąc na taką górę ma się do dyspozycji nie tylko przewodników czy kucharza ale przede wszystkim tragarzy. Tak to oni noszą twoje podstawowe wyposażenie. Sam niosę tylko trzydziestolitrowy plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami. Najważniejszym jest mieć jak największą ilość płynów. Aby zapobiec chorobie wysokościowej oraz odwodnieniu organizmu trzeba co chwilę pić. To podstawa. Jak się o tym zapomni można zapomnieć

o dotarciu na szczyt. Można oczywiście to przytłąć życiem. To nie przelewki. Idąc pod górę w takich warunkach człowiek nie ma specjalnie czasu ani ochoty rozglądać się dookoła. Patrzy tylko by postawić nogę w bezpiecznym miejscu. A często jest tak, że organizm zmęczony panującymi na górze warunkami zupełnie nie słucha poleceń wydawanych przez mózg. Wiele razy miałem wrażenie, że gdy chciałem postawić nogę w zaplanowanym miejscu, ja kierowałem ją do przodu a ona szła gdzieś w drugą stronę. W takiej sytuacji bardzo pomocne okazują się kijki, którym możemy się podeprzeć.



Uhuru Peak – Kilimanjaro (5895 m. n.p.m.). Foto: Krzysztof Tęcza

Najważniejsze jednak to stosowanie się do uwag i poleceń prowadzącego. To on wie którądy iść, czy jesteśmy ubrani odpowiednio do panujących warunków, to on często wręcz zmusza nas do wypicia kolejnych łyków płynów. W końcu to on decyduje kiedy mamy odpocząć a kiedy iść dalej. To on decyduje czy pozwoli nam wejść na naszą wymarzoną górę czy każe nam zawrócić. I gdy podejmie niekorzystną dla nas decyzję to musimy go usłuchać. Bo taka decyzja wydającą nam się krzywdzącą może uratować nam życie. Bo tylko ów przewodnik ze swoim doświadczeniem wynikającym z jego często setek wejść na szczyt jest w stanie ocenić naszą kondycję. On naprawdę nie robi nam na złość. On po prostu widzi czy damy radę czy mamy już dosyć. I najczęściej poddajemy się jego woli. Czasami są sytuacje odwrotne. To my mając już dosyć chcemy zawrócić, a przewodnik oceniając stan naszego zdrowia i ducha każe nam się napić ciepłej herbaty i po krótkiej rozmowie iść dalej. Bo w tym momencie tylko on widzi, że damy radę i możemy iść dalej. I często, ba bardzo często, właśnie takiemu doświadczonemu przewodnikowi my nieświadomi zagrożeń na tak nietypowej dla nas górze

zawdzięczamy, że osiągamy cel. Mało tego, często właśnie takiemu doświadczonemu przewodnikowi zawdzięczamy życie. My bowiem na tej wysokości, w tak niekorzystnych dla nas warunkach, sami nie jesteśmy już w stanie podejmować racjonalnych decyzji.

Nie powiem, wchodząc na Kilimanjaro, byłem bardzo zmęczony, niedotlenienie organizmu powodowało, że nie miałem specjalnego wpływu na to robi mój organizm. Zdarzyło się kilka razy, że zachwiałem się nad przepaścią i gdyby nie idący za mną mój „osobisty opiekun” pewnie byłaby to moja ostatnia wyprawa. Miałem jednak szczęście i nie tylko wszedłem na Dach Afryki ale bezpiecznie z niego zszedłem. Jestem wdzięczny za okazaną mi pomoc całej naszej ekipie, zarówno tragarzom, przewodnikom jak i kucharzom, którzy pokazali swój kunszt.



Śnieżka. Foto: Krzysztof Tęcza

Oczywiście takie zbytki jak tego typu wyprawy sporo kosztują. Ale jeśli chce się przeżyć coś nietypowego trzeba się z tym liczyć. Nie mniej nie można swoimi marzeniami obciążać innych. I dlatego wybierając się na takie ekstremalne wyprawy wybieram się tam z biurami organizującymi tego typu wypady. W Internecie takich biur jest pełno. Warto jednak sprawdzić od kiedy dane biuro organizuje tego typu usługi i co oferuje w zamian za określoną sumę pieniędzy. Nie można bowiem wyruszyć w tak ekstremalną podróż bez na przykład adekwatnego do zagrożenia ubezpieczenia gwarantującego nam stosowną pomoc. Trzeba także sprawdzić jak wiele tego typu dane biuro organizowało już wypraw i poczytać opinie o usługach świadczonych przez wybranego operatora. Chociaż co do zamieszczanych opinii trzeba zachować pewien dystans. Ludzie mają dzisiaj tak dziwne wymagania i wyobrażenia co im się należy, że nie zawsze to co piszą należy brać na poważnie. Znajdą się tacy, którzy uważają, że jak zapłacili to powinno się ich wręcz wnieść na szczyt, a także zapewnić ciepły prysznic czy inne udogodnienia podczas wyprawy. Faktycznie często uczestnicy takich wypraw nie mają żadnego doświadczenia górskiego. Zdarza się, że nawet nie wiedzą na co tak naprawdę się porywają. Im wystarcza, że kupią wypasiony sprzęt i już. Czasami widach jeszcze metki sklepowe. Nie dociera do nich, że np. buty powinny być już sprawdzone. Ale myślę, od tego jest, a przynajmniej powinno być dane biuro. To oni powinni wstępnie weryfikować chętnych do wyprawy i jeśli zajdzie taka potrzeba wybić im to z głowy. Skutecznie acz taktownie.

Zachęcony moim sukcesem postanowiłem wybrać się na kolejną wyprawę. Tym razem nie chciałem lecieć gdzieś na drugi koniec świata. Uznałem, że warto spróbować wejścia na uważany przez większość za najwyższy szczyt Europy Mont Blanc. Co prawda jego wysokość 4810 m. jest o kilometr niższa aniżeli Kilimanjaro jednak jest on trudniejszy technicznie.

Tak jak poprzednio przejrzałem oferty biur oferujących podobne wyprawy i wybrałem to, które wydało mi się najbardziej doświadczone jeśli chodzi o wyjścia na ten właśnie szczyt. Zanim wyruszyłem w Alpy zwyczajowo trochę powędrowałem sobie po naszych Karkonoszach. Pod hasłem „3xŚnieżka=1xMont Blanc” zaproponowałem wycieczki na najwyższą górę Sudetów. Co prawda jej wysokość 1603 m. to nie to co Mont Blanc, ale za to wejścia dają w kość. Pierwszą trasę poprowadziłem spod dolnej stacji wyciągu krzesełkowego na Kopę tak by przyzwyczaić organizm do późniejszych cięższych przejść. Dało się w zasadzie dotrzeć na szczyt bez wysiłku. Do Karpacza wróciłem przez Lucni boude i Strzechę Akademicką. Druga wycieczka była już trudniejsza. Poszliśmy przez Kocioł Łomniczy by ze Śnieżki powrócić do Karpacza przez Sowią Dolinę. Niestety trzeciej wycieczki nie zdążyłem odbyć przed wyjazdem gdyż okazało się, że zwołnię się miejsce w ekipie mającej wyruszyć w Alpy 25 czerwca 2018 r. Trzeba było kompletować potrzebny sprzęt. Ponieważ nie jest to moja pierwsza wyprawa w zasadzie większość wyposażenia mam w szafie. Wystarczyło tylko uzupełnić je o kilka nietypowych drobiazgów. Z biura otrzymałem listę wymaganych rzeczy. Najważniejsze oprócz odpowiednich ubrań były sztywne buty, pasujące do nich raki, kije, czekan, kask, ciepły śpiwór, uprząż i bazowy plecak.



Masyw Mont Blanc. Francja. Foto: Krzysztof Tęcza

Dla jasności podam, że po górach chodzę codziennie. Tylko w tym roku poprowadziłem kilkadziesiąt wycieczek, więc jeśli chodzi o wytrzymałość mojego organizmu myślę, że jest wystarczająca by podejmować takie wyzwanie. Co prawda od jakiegoś czasu chodzę po górach nieco wolniej niż kiedyś ale zawsze docieram do celu. Zresztą wejście na Kilimanjaro nauczyło mnie rzeczy wydawałoby się niemożliwej. Wcześniej nigdy nie przypuszczałem, że można tak wolno chodzić po górach. Drobne spokojne kroczki w warunkach ograniczonego dostępu do tlenu sprawdzają się znakomicie.

Gdy tylko spakowałem potrzebne rzeczy dotarłem w umówione miejsce i dołączyłem do pozostałej ekipy ruszającej w Alpy. Okazało się, że jest nas wraz z prowadzącymi 13 osób. Ponieważ całe życie liczba „13” była dla mnie szczęśliwa nie przeszkadzało mi to. Późno w nocy dotarliśmy do Chamonix we Francji i rozbiliśmy namioty w Les Houches. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Po drodze zostaliśmy zapoznani z programem i każdy w kilku zdaniach opowiedział coś o sobie, o swoich osiągnięciach jeśli chodzi o góry. Okazało się, że wszyscy mają jakieś doświadczenie górskie. No może z jednym wyjątkiem. Nie miało to mieć jednak specjalnego znaczenia gdyż jedyna kobieta w naszym zespole miała podejść z nami tylko do schroniska Tete Rousse i tam pozostać by oczekiwać na nasz powrót ze szczytu.



Masyw Mont Blanc. Foto: Krzysztof Tęcza

Ranek powitał nas piękną słoneczną pogodą. Góry widać było jak na dłoni. Zapowiadał się ładny dzień. Zostaliśmy zaopatrzeni w odpowiednią ilość prowiantu. Także nasze plecaki zostały odpowiednio odchudzone. Wszystko co było zbędne podczas górskiej wspinaczki zostało wypakowane i pozostawione w bazie. Teraz w dobrych nastrojach przeszliśmy kilkaset metrów do dolnej stacji kolejki, którą wjechaliśmy na wysokość 1800 m. n.p.m. Co prawda wagonik,

do którego nas zaproszono wyglądał jak ze skansenu ale wytrzymał. Szczęśliwie dotarliśmy na górę. Wreszcie miał rozpocząć się marsz na szczyt. Chociaż tak naprawdę to dopiero pierwszy dzień. W sumie mieliśmy iść prawie tydzień.

Ruszyliśmy wąską ścieżką po zboczu i po jakiejś godzinie marszu dotarliśmy do stacji tramwaju górskiego. W oczekiwaniu na odjazd kolejki na trawie leżało kilkadziesiąt osób. Ponieważ sezon zaczyna się na początku lipca nie było dużego tłoku. To dobrze, bo nie ma nic gorszego jak wymijanie się grup na stromym zboczu. Po krótkim odpoczynku idziemy widoczną ścieżką wijącą się wśród coraz rzadszych krzaków zieleni. Idziemy szlakiem krajobrazowym mającym dostarczyć wielu wrażeń. Faktycznie gdy na chwilę przystajemy i obracamy się do tyłu widoki są urzekające. Widzimy jak część ludzi podąża torami kolejki. Jest to trochę dziwne gdyż tuż przy stacji widać wielkie ogłoszenie, że to nie jest trasa turystyczna i nie wolno tamtędy chodzić.



Alpy. Francja. Foto: Krzysztof Tęcza

Nasza ścieżka staje się coraz bardziej stroma i coraz bardziej pokręcona. Po pewnym czasie przed nami widać same serpentyny. Oczywiście wynika to z faktu, że na stosunkowo krótkim odcinku musimy pokonać prawie kilometr przewyższenia. Szybko okazuje się, że niektórym nie pasuje spokojne wspinanie się pod górę i dzielimy się na dwie grupy. Wynikło to tak jakoś naturalnie. Pierwsza grupa złożona z 9 osób praktycznie przejeżdża do przodu jak małe parowoziki. Nic nie może ich powstrzymać. To nic. Mają oni swojego prowadzącego, niech leci. Będzie spokój. Pozostaliśmy we czwórkę. Prowadzi nas najbardziej doświadczony człowiek, który na szczycie był już kilkadziesiąt razy. Dostosowuje on tempo do nas. Ja z przyzwyczajenia po moich ostatnich wypadach idę powolutku, krok za krokiem, nie ulegając żadnym naciskom. Po prostu mam swoje tempo. Pozostałe dwie osoby

to para narzeczonych, którzy trzymają się razem. Nasze tempo jest w miarę stabilne. Chociaż czasami jestem na końcu grupy, czasami w środku a czasami idę jako pierwszy. Wkrótce dochodzimy do miejsca, w którym znajduje się ustawiony drogowy znak z tabliczką informującą, że oto jesteśmy na wysokości 2480 m. n.p.m. Dobra nasza. Dzisiejszy dzień mamy zakończyć na około 2800 m., więc pozostało już nam bardzo niewiele. Jest fajnie. Jedyne co nam trochę przeszkadza to strasznie grzejące słońce. Już się posmarowaliśmy kremem z filtrem i założyliśmy okrycia głowy, nie powinno zatem nas spalić.

Po odsapnięciu podążamy dalej. Teraz dopiero zaczynają się serpentyny. Robi się coraz bardziej stromo. Spod nóg ciągle usuwają się mniejsze i większe kamienie. Pojawia się pierwszy śnieg. Nie jest to coś wielkiego. Ot takie łachy śnieżne. W zasadzie o tej porze nie powinno tutaj być już ani grama śniegu. Widocznie temperatura jest jeszcze na tyle niska, że dopiero za kilka dni cały śnieg stopnieje. Przechodzimy śnieżne odcinki jeden za drugim bez specjalnych problemów. Śnieg jest podgrzany promieniami słonecznymi na tyle, że nie ma na nim lodu a jego konsystencja pozwala dobrze wbić buta. Pewnym utrudnieniem staje się coraz większe nachylenie zbocza. Trudniej wtedy przejść odcinki ze śniegiem. Trzeba wbijać dobrze kij od strony zewnętrznej aby ciężkie, ważące po ponad 20 kg plecaki nie przeważały nas w nieodpowiednim kierunku.



Alpy. Francja. Foto: Krzysztof Tęcza

Wreszcie docieramy pod najbardziej eksponowaną część zbocza. Wydaje nam się, że jest ono niemal pionowe. Ścieżka staje się tak „chuda”, że jest problem by odpocząć. Trzeba stać z plecakiem na barkach gdyż tak naprawdę nie ma go gdzie położyć. Zapewne spadłby na dół. Jeśli chodzi o mnie to początkowo przeszło mi przez myśl czy nie warto by było wyciągnąć raków ale gdy spróbowałem wbić

buta w śnieg uznałem, że to niewiele pomoże. Po prostu trzeba być ostrożnym i dobrze wbijać się w ślady poprzedników. Najważniejsze było aby nie przeważał nas ciężar plecaka.

Gdy już widać było przełęcz, do której zmierzaliśmy, okazało się, że skończyła się nasza ścieżka. Do końca ściany pozostało nam kilkadziesiąt metrów przewyższenia. Jednak jak tam dotrzeć. Na szczęście prowadzący nas dobrze wiedział gdzie należy iść i uznając, że dalszy marsz przez luźny zalegający śnieg jest zbyt niebezpieczny pokazał nam drogę przez wystający filar skalny. Gdy obejrzeliśmy wskazaną trasę także uznaliśmy, że nie ma co się pchać w niepewny śnieg tylko spróbować wdrapać się po tej skale. Ponieważ jednak pokryta była ona wieloma drobnymi kamyczkami było to nie mniej niebezpieczne. Dlatego zdecydowaliśmy się zabezpieczyć pokonywany odcinek. Prowadzący nas jako najsilniejszy z nas wspiął się około 30 m. na górę i tam założył linę asekuracyjną. Dopiero teraz mogliśmy podjąć skuteczną próbę wejścia wyżej. Faktycznie bez tej liny nie dalibyśmy rady. Jednak takie wciąganie się z ciężkim plecakiem po prawie pionowej ścianie dało nam nieźle w kość. Wszyscy to odczuliśmy. Najbardziej zmęczona była nasza niewiasta. Nic dziwnego. Gdy dotarła do końca liny wyzwoliła się z niesionego plecaka. Na szczęście był tam niewielki fragment terenu, na którym można było przysiąść. Ja stałem wyżej trzymając się znajdującego się tam łańcucha gdyż szansy by położyć gdzieś obok plecak nie było żadnej.



Alpy. Francja. Ostatnie podejście. Foto: Krzysztof Tęcza

Spojrzeliliśmy do góry. Do przełęczy pozostało dosłownie kilkadziesiąt metrów, oczywiście w pionie. Serpentykami będzie nieco dalej. Ale inaczej się nie da. Przed nami jeszcze jedna, ostatnia, łacha śniegu. Kilkanaście metrów, może nieco więcej. Pierwszy przeszedł prowadzący by sprawdzić czy wszystko jest w porządku. Drugi ruszyłem ja. Ślady pozostawione przez poprzedników były dosyć

wyraźne, chociaż rozgrzany promieniami słonecznymi śnieg był trochę dziwny. Z jednej strony gdy wkopywałem buta w ślad siadał on dosyć wyraźnie, z drugiej strony trzeba było to czynić z rozmysłem by naruszony śniegu po prostu nie zleciał. Dlatego starałem się najpierw dobrze wbić kij trzymany od zewnętrznej strony a dopiero później przenosić do przodu jedną nogę. W tym czasie byłem pochylony bokiem do zbocza i trzymałem się ręką za śnieg. Tak naprawdę to po prostu wdrapywałem się palcami w śnieg próbując go złapać. Kij z tej strony mógł mi tylko przeszkadzać. Mniej więcej pośrodku przejścia gdy zmieniałem nogę poczułem jak wbity kij wpadł nagle jeszcze głębiej w śnieg i nieźle mną majtnęło. Na szczęście byłem pochylony w stronę zbocza więc opanowałem to. Trochę mnie to jednak zmobilizowało do większej ostrożności. Starałem się nie patrzeć w dół. Byłem już tylko kilka kroków od skały.



Alpy. Francja. Ratownicy docierają do poszkodowanej. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy pozostało mi dosłownie dwa, trzy kroki do skalnego podłoża usłyszałem nagle tuż za sobą jakieś westchnięcie czy jęk. Trudno mi to teraz określić. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem jak idąca za mną dziewczyna spada ze śladu. Od razu plecak przeważył ją i ułożył na plecach. Zaraz też zaczęła odjeżdżać ode mnie. Ja stojąc w śnieżnym śladzie, podparty z jednej strony kijkiem, mogłem tylko patrzeć na to co się działo poniżej moich nóg. Dziewczyna zsuwała się coraz niżej. Najdziwniejsze było to, że robiła to w zupełnej ciszy. Nie krzyczała, nie wołała o pomoc. Było to tak przerażające, że musiałem oderwać od niej oczy i szybko postawić utrzymaną w powietrzu nogę by samemu nie polecieć w przepaść. Zrobiłem to w takim pośpiechu, że aż mną zachwiało. Na szczęście byłem już na skale. Wtedy obejrzałem się ponownie i zobaczyłem jak ona, oddalona już o kilkadziesiąt metrów ode mnie, dociera do miejsca, w którym znajduje się lekka fałda, za którą jest już tylko

bezkresna przepaść. Aż mi włosy stanęły gdy to zobaczyłem. Stałem jak zahipnotyzowany. Dostłownie nie mogłem się ruszyć.

Gdy już się wydawało, że wyleci ona w powietrze zobaczyłem jak jej ciało bezwiednie skręca lekko w prawo i po wybiciu ponownie spada na śnieg leżący w skalnym leju. Znowu zaczyna się zsuwać jak na sankach. Tor jej ślizgu określa kształt leju. Sunie środkiem zalegającego śniegu. O dziwo jej szybkość wcale się nie zwiększa, wciąż jest taka sama. Mam wrażenie, że oglądam to w zwolnionym tempie. Ja stoję nie mogąc wykonać żadnego ruchu a ona wciąż oddala się ode mnie. Wciąż jest coraz dalej i dalej. I wciąż wszystko przebiega bezgłośnie. To było najbardziej przerażające w tym wszystkim. Ta absolutna cisza, jak na niemy filmie. Po chwili lej skręcił w lewo i ona znikła za skałami. I to wszystko, żadnego rumoru, żadnego krzyku, tylko ciągła cisza.

Teraz nie wiem czy ona spadła bo się poślizgnęła, spadła bo kij stracił stabilność, urwał się kawałek śniegu czy może po prostu przeważył ją plecak, a może zaśląbła? Tego chyba nie dowiemy się już nigdy.



Alpy. Francja. Widok na Chamonix. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale to nie koniec. Dopiero teraz wszystko nabiera tempa. Patrzę do tyłu a narzeczony dziewczyny, która spadła, zrzuca plecak i chce zejść w stronę przepaści by zobaczyć gdzie ona jest. Już oczami wyobraźni widzę jak on też leci w dół. Nie wiem co się dzieje, słyszę tylko jak wydieram się do niego by stał w miejscu, by nie podchodził do przepaści. W tym samym czasie podobnie krzyczy prowadzący stojący kilkanaście metrów nade mną. Nawet nie wiem kiedy wbiłem się w pobliską skałę i zrzuciłem plecak. Gdy złapałem się znajdującej się tam metalowej barierki odwróciłem się i widzę jak on wciąż

zbliża się do krawędzi. Widocznie nas nie słyszy. W końcu przeciska się koło mnie prowadzący, który każe mi zostać i nie ruszać się stąd, gna w stronę chłopaka. Przez krótki moment nie wiem co się dzieje. Na szczęście zaraz widzę, że są już razem. Prowadzący bierze telefon i dzwoni po pomoc. Nie wiem czy tak było ale wydaje mi się, że helikopter z ratownikami zjawił się przed nami dosłownie w kilka minut od zawiadomienia. To było niesamowite. Widziałem jak spuszczeni są z maszyny kolejni ratownicy. Moi współtowarzysze ruszyli w dół by dotrzeć jak najbliżej miejsca upadku. Jeszcze nie dociera do nas, że ona może już nie żyć. Przecież zsuwała się tak powoli, spokojnie. Helikopter wciąż podchodzi pod zbocze spuszcząc kolejnych ratowników by po chwili odlecieć na bezpieczną odległość. Coś się tam dzieje w dole, niestety stąd nie widzę co. Wciąż ściskam mocno barierkę, aż wbija mi się w dłoń.



Schronisko w masywie Mont Blanc. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ dostałem polecenie aby iść dalej i zawiadomić pozostałą grupę o zaistniałej sytuacji staram się założyć na barki plecak. Nie jest to wcale takie proste. Raz, że nie mogę otworzyć zaciśniętej dłoni, dwa, że okazuje się, iż plecak nagle stał się niezwykle ciężki. Przecież nic się nie zmieniło a ja nie bardzo mogę go podnieść. Wreszcie udaje mi się. Kieruję się w stronę wystającej zza skały stalowej drabiny. Niby to tylko kilka metrów ale jakoś długo trwa zanim tam docieram. Gdy puszczam barierkę by złapać szczebel drabiny dzieje się ze mną coś dziwnego. Nagle ręce zaczynają mi drżeć a po chwili tak się trzęsą, że nie mam szans by cokolwiek nimi zrobić. Cały robię się jakiś słaby, taki wiotki. Nie wiem co się dzieje. Staram się powstrzymać to rozdygotanie ale nie bardzo mi to wychodzi. Trwa tak kilka minut. Wreszcie zaczynam dochodzić do siebie. Dociera do mnie, że oto zostałem sam na szlaku, sam nad przepaścią. Wiem tylko, że trzeba iść do góry, że tam za przełęczą są nasi. Muszę tam dotrzeć, za wszelką cenę. Nie mam innego wyjścia.

Chwytam pierwszy szczebel drabiny znajdujący się nad moją głową. Drugą ręką puszczam się barierki bo inaczej nie sięgnę do drabiny. Wtedy postawiona noga na śniegu znajdującym się pomiędzy dwoma skałami osuwa się zrzucając cały śnieg. Zawisam na ręce, którą zaciskam na szczeblu. Obraca mnie plecami do ściany. To ciągnie ciężar plecaka. Widzę tylko niebo, nic więcej. Boję się spojrzeć w dół. Tam przecież nie widać dna. Chaotycznie macham nogami próbując dosięgnąć jakiegoś oparcia. Trwa to tylko chwilę ale mnie się wydaje, że to cała wieczność. W końcu udaje mi się chwycić drugą ręką kolejny szczebel drabiny. Wreszcie gdy podciągam się trochę do góry nogi łapią jakieś oparcie. Powoli pnę się wyżej i wyżej. Stawiam nogę na szczeblu, potem drugą. Przywieram całym ciałem do drabiny i trwam tak dłuższą chwilę. Muszę ochłonąć. Pewnie nikt nie byłby w stanie oderwać mnie teraz od tego kawałka metalu. Gdy dochodzę do siebie słyszę jakiś głos nade mną. To, okazało się, przyszedł zaniepokojony naszą długą nieobecnością prowadzący pierwszą grupę. Widząc tylko mnie pyta co się stało. Gdy mu przedstawiam sytuację widać jak jego twarz się zmienia. Teraz on doznaje szoku. Stoi jak wryty. Ja tymczasem pokonuję drabinę i docieram do niego. Wreszcie teren nieco się wypłaszacza i mogę zdjąć plecak.

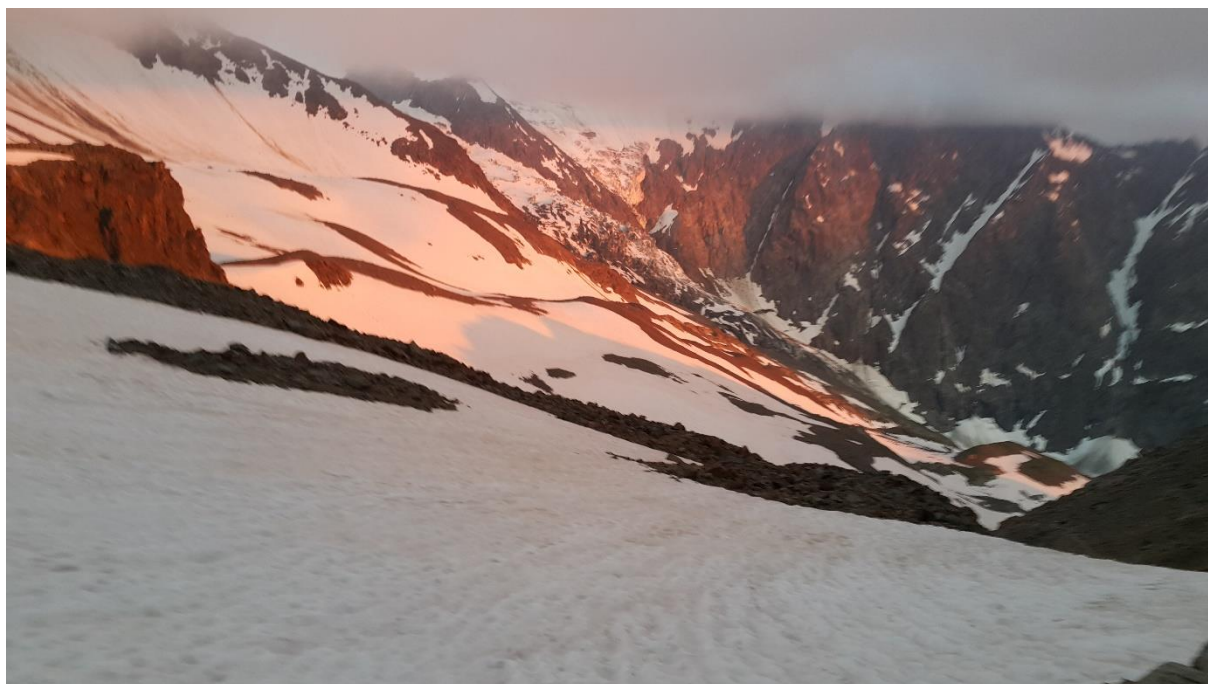


Alpejskie służby ratownicze. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy obaj ochłonęliśmy wyjmuję wszystko co może nas postawić na nogi. Zjadamy całe zapasy słodczy wierząc, że to przywróci nam spokój. Faktycznie po krótkim czasie jesteśmy spokojni. On schodzi niżej by zabrać porzucony plecak. Ja nagrywam telefonem jak podfruwa helikopter. Mam nadzieję, że coś wypatrzę. Widzę jak po kolei są wciągani na pokład ratownicy. W końcu widzę jak na linie sunie do góry ratownik trzymający nosze, na których leży czarny worek. Dopiero teraz dociera do mnie, że to już koniec. Obaj nie wiemy co robić, jak się zachować. Umawiamy się, że na razie nie powiemy o śmierci naszej koleżanki, powiemy tylko że zabrał ją helikopter.

Po chwili z przełęczy schodzą następni uczestnicy wyprawy. Podlatuje do nas helikopter, z którego wysiada ratownik sprawdzający czy z nami jest wszystko w porządku. Zaraz odlatuje. Podmuch jaki spowodował omal nas nie zepchnął ze ścieżki. Dostaliśmy kamieniami miotanymi przez siłę jego łopat. W sumie to teraz nie wiem które zadrapania i rany na moim ciele spowodowały te kamienie a których nabawiłem się miotając się na drabinie. Na szczęście dla mnie wszystko skończyło się

niewielkimi ranami i podartym ubraniem. Co prawda gorzej było jeśli chodzi o psychikę. Byłem całkowicie rozbity. Nie mogłem rozmawiać z innymi bo zaraz w oczach stawały mi łzy. A przecież w tej chwili byłem jedynym, który widział całą tragedię.



Alpy. Wschód słońca. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie będę pisał co się teraz działo. Wiadomo każdy miał swoje zdanie. Trzeba było poczekać na oficjalny komunikat co dalej. Ale to dopiero rano. Teraz trzeba było pomyśleć o przygotowaniu noclegu. Na szczęście znajduje się tu betonowy domek z kilkoma pryzmami. Jesteśmy na wysokości 2768 metrów. Wszystko wyżej jest już białe i wraz z nadchodzącym wieczornym chłodem zaczyna błyszczeć tworzącym się na powierzchni śniegu lodem. Póki można nabieramy do menażek śnieg i topimy go by przygotować coś ciepłego. W końcu kładziemy się spać. Nie bardzo przychodzi mi sen. Raz, że jeszcze mam przed oczami ten straszny obraz, dwa, że co chwilę słyszę potężny zgrzyt, jakby coś ciężkiego szorowało o chropowatą ścianę. Nad ranem owe dziwne odgłosy nasiliły się do tego stopnia, że o śnie nie było już mowy. Okazało się, że to były odgłosy spadających na sąsiednich ścianach lawin.

Muszę powiedzieć, że noc mimo iż była bardzo mroźna, nie sprawiła mi problemów. Okazało się, że śpiwór zabrany przeze mnie faktycznie pozwala spać na śniegu przy temperaturze bliskiej -30°C . Nie czuć w nim żadnego zimna.

Wreszcie nastaje ranek. Słońce oświetla ściany przed nami. Widzimy nad sobą trzy schroniska, w tym to najnowsze, usadowione na zboczu tak, że aż trudno uwierzyć, że nie zleci. To właśnie do niego w dniu wczorajszym wciąż latały helikoptery z zaopatrzeniem.

Jest już oficjalna decyzja. Wyprawa zostaje przerwana i w związku z zaistniałą sytuacją proszą nas o zejście na dół. Tym razem nie ryzykujemy i schodzimy na dół z drugiej strony. Najpierw pokonujemy pole lodowe a później decydujemy się iść torami kolejki. Nie zważamy na żadne zakazy. Niech no tylko spróbują nas zawrócić. Na szczęście nikt nie reaguje. Jedyną niedogodność to spaliny pozostałe w tunelu po przejeździe kolejki. Myśleliśmy, że się udusimy.

Na dół schodzimy kilka godzin. Ze względu na nachylenie stoku obcieramy sobie palce w butach. Sama kolejka by tutaj podjechać ma ułożoną trzecia szynę jako zębatkę. Teraz tylko godzinka marszu i jesteśmy przy wyciągu, którym jedziemy na dół i już jesteśmy na kempingu. Musimy tylko poczekać aż francuska żandarmeria spíše odpowiedni protokół. Nie trwa to zbyt długo. Okazuje się, że ze względu na ilość podobnych wypadków są oni przygotowani na takie procedury. Wkrótce dociera do nas nasz prowadzący informując o ustaleniach dokonanych przez odpowiednie służby. Ponieważ, jak już wspominałem, posiadaliśmy wszyscy stosowne ubezpieczenia, ubezpieczyciel zajął się wszystkimi sprawami finansowymi oraz transportem zwłok do kraju.



Foto: Krzysztof Tęcza

Niestety tym razem nasza wyprawa zakończyła się tragicznie. My nie osiągnęliśmy zaplanowanego celu. Zginęła nasza koleżanka. Tym razem wygrała góra. Tak to już jest. Nie zawsze człowiek jest górą. Pewnie niebawem zostaną przedstawione stosowne ustalenia co do przyczyn wypadku. Na razie wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

Na koniec aby niepotrzebnie nie wchodzić w dyskusje powiem tak: Góry to inny świat. To świat marzeń. Tych spełnionych i tych niespełnionych. Góry to świat radości ale i świat cierpienia i łez. Góry nie są dla wszystkich, to fakt. Niemniej góry to marzenia, to świat do którego Ignie wielu. Jednak ten świat trzeba rozumieć, trzeba go traktować z należytyim szacunkiem i powagą. Góry, jeśli czujesz przed nimi odpowiedni respekt, pozwolą ci bezpiecznie wrócić do domu. Musisz tylko bardzo tego chcieć.

Krzysztof Tęcza